STEPHEN KING

INSTYTUT

ALBATROS

1

Pół godziny po planowanym odlocie Tima Jamiesona z Tampy ku jasnym światłom i wysokim budynkom Nowego Jorku samolot linii Delta nadal stał przy rękawie. Kiedy do kabiny weszli agent Delty oraz blondynka z identyfikatorem ochrony na szyi, rozległy się ostrzegawcze pomruki niezadowolonych pasażerów ściśniętych w klasie ekonomicznej.

– Czy mogę prosić o uwagę? – odezwał się głośno gość z Delty.

– Ile będzie tego opóźnienia? – zapytał ktoś. – Bez owijania w bawełnę.

– Opóźnienie nie powinno być duże, a kapitan zapewnia, że dotrą państwo na miejsce o czasie. Na pokład chce jednak wejść agent federalny, więc ktoś z państwa będzie musiał oddać mu miejsce.

Podniósł się jęk i Tim zauważył, że parę osób sięga po komórki, na wypadek gdyby zaczęły się kłopoty. W takich sytuacjach już się zdarzały.

– Tej osobie linie lotnicze Delta zapewnią darmowy bilet do Nowego Jorku na następny lot, czyli jutro o szóstej czterdzieści pięć.

Kolejny jęk.

– Zastrzelcie mnie – rzucił ktoś.

Pracownik firmy niezrażony mówił dalej:

– Dodatkowo zapewnimy voucher hotelowy na dzisiejszy nocleg plus czterysta dolarów. To dobra oferta, proszę państwa. Kto jest chętny?

Nikt się nie zgłosił. Blondynka z ochrony milczała, wodziła jedynie po zatłoczonej kabinie wszystkowidzącym, ale jakimś cudem jednocześnie martwym wzrokiem.

– Osiemset – powiedział facet z Delty. – Plus voucher hotelowy i darmowy bilet.

– Gość gada jak gospodarz teleturnieju – mruknął jakiś mężczyzna w rzędzie przed Timem.

Chętnych nadal nie było.

– Tysiąc czterysta?

Ciągle nic. Timowi wydało się to ciekawe, ale niezbyt zaskakujące. I to nie tylko dlatego, że lot o szóstej czterdzieści pięć oznaczałby pobudkę o nieludzkiej godzinie. Jego współpasażerami z klasy ekonomicznej w większości były rodziny wracające z wycieczki po atrakcjach turystycznych Florydy, pary spalone od wylegiwania się na plaży oraz napakowani, czerwoni na twarzy wkurzeni kolesie, którzy w Nowym Jorku robili zapewne interesy warte znacznie więcej niż tysiąc czterysta dolarów.

Ktoś z tyłu zawołał:

– Dorzućcie mustanga cabrio i wycieczkę dla dwóch osób na Arubę, to oddamy oba nasze miejsca!

Ten tekst wywołał wybuch śmiechu, który nie brzmiał szczególnie przyjaźnie.

Agent spojrzał na blondynkę z identyfikatorem, ale jeśli liczył na pomoc z jej strony, to się rozczarował. Kobieta kontynuowała obserwację kabiny, zupełnie nieruchoma z wyjątkiem oczu. Westchnął ciężko i rzucił:

– Tysiąc sześćset.

Nagle Tim Jamieson miał ochotę spierdalać z tego samolotu i jechać na północ autostopem. Chociaż taka myśl dotąd w ogóle nie przyszła mu do głowy, teraz wyobraził sobie, i to bardzo wyraźnie, że tak robi. Oto stoi z wyciągniętym kciukiem przy szosie numer 301 gdzieś w samym środku hrabstwa Hernando. Jest gorąco, w powietrzu roi się od owadów, bilbord reklamuje usługi jakiegoś prawnika od nieszczęśliwych wypadków, z boomboxa stojącego na betonowym stopniu pobliskiej przyczepy, przy której jakiś mężczyzna z nagim torsem myje samochód, dochodzą dźwięki *Take It on the Run* REO Speedwagon. W końcu pick-upem z dorobionymi drewnianymi ściankami, melonami na pace i magnetycznym Jezusem na desce rozdzielczej musi nadjechać jakiś farmer skłonny podwieźć autostopowicza. Najlepsze, że Tim będzie mógł tam stać sam, z dala od tej puszki sardynek, w której bój toczyły zapachy perfum, potu i lakieru do włosów.

Równie dobra była jednak perspektywa wycyckania państwa z dodatkowych paru dolarów.

Tim wstał, w pełni się wyprostował (do prawie metra osiemdziesięciu wzrostu), poprawił okulary na nosie i podniósł rękę.

– Dwa tysiące plus zwrot ceny biletu w gotówce i miejsce jest wasze.

2

Okazało się, że voucher jest na nocleg w podłym hotelu na końcu najruchliwszego pasa startowego lotniska w Tampie. Tim zasnął przy dźwiękach samolotów i one go obudziły, a wtedy zszedł na dół, gdzie wchłonął jajko na twardo i dwa gumowate naleśniki z wliczonego w cenę bufetu śniadaniowego. Chociaż trudno to było nazwać ucztą dla smakoszy, najadł

się do syta, po czym wrócił do pokoju i odczekał do otwarcia banków o dziewiątej rano.

Bez trudu odebrał nieprzewidzianą forsę, ponieważ bank spodziewał się tej wizyty i już wcześniej zaakceptował czek. Tim wziął swoje dwa tysiące w dwudziestkach i pięćdziesiątkach, złożył i schował do lewej przedniej kieszeni spodni, odebrał torbę podróżną od ochroniarza, zamówił ubera i kazał się zawieźć do Ellenton. Tam zapłacił kierowcy, podszedł do najbliższej tabliczki z napisem 301-N i wyciągnął kciuk. Kwadrans później zabrał go starszy facet w baseballówce z logo firmy Case. Pick-up co prawda nie miał paki obudowanej drewnem i nie przewoził melonów, ale poza tym właściwie nie odbiegał od wczorajszej wizji Tima.

– Dokąd jedziesz, kolego? – zapytał stary.

– No cóż – odparł Tim. – Docelowo chyba do Nowego Jorku.

Facet splunął tytoniem przez okno.

– A po co człowiek przy zdrowych zmysłach miałby tam jechać? – Kierowca mówił z mocnym południowym akcentem.

– Nie wiem – powiedział Tim, mimo że wiedział. Jak opowiadał mu kumpel z policji, w Nowym Jorku jest masa roboty w prywatnych firmach ochroniarskich, które więcej wagi przywiązują do doświadczenia niż do takiej piętrowej kaszany, w jaką wpieprzył się Tim i musiał przez nią rozstać się ze służbą na Florydzie. – Na razie przed wieczorem chcę dojechać do Georgii. Może tam mi się bardziej spodoba.

– Teraz to rozumiem. Georgia nie jest zła, zwłaszcza jak się lubi brzoskwinie. Ja mam po nich sraczkę. Nie będzie ci przeszkadzała muzyka?

– Nie, skądże.

– Ale ostrzegam, że puszczam ją głośno. Troszku jestem przygłuchy.

– Ja po prostu cieszę się podróżą.

Zamiast REO Speedwagon był Waylon Jennings, ale Tim nie miał nic przeciwko temu. Potem polecieli Shooter Jennings i Marty Stuart. Dwaj mężczyźni w ubłoconym dodge'u ramie słuchali muzyki i patrzyli na przesuwającą się pod kołami szosę. Po stu piętnastu kilometrach stary zjechał na pobocze, trącił daszek czapki na pożegnanie i życzył Timowi zacnego dnia.

Tego wieczoru Tim nie dotarł do Georgii – noc spędził w kolejnym podłym motelu obok przydrożnego stoiska z sokiem pomarańczowym – ale udało mu się to nazajutrz. W mieście Brunswick (gdzie wymyślono pewną smaczną potrawkę) na dwa tygodnie zatrudnił się w przetwórni odpadów. Zrobił to bez wcześniejszego namysłu, zupełnie jak wtedy, kiedy w Tampie oddał miejsce w samolocie. Nie potrzebował pieniędzy, ale chyba potrzebował czasu. Był w fazie przejściowej, a ta nie mija z dnia na dzień. Poza tym po sąsiedzku znajdowały się kręgielnia i restauracja Denny's. Trudno przebić takie połączenie.

3

Dołożywszy wypłatę z przetwórni odpadów do kasy od linii lotniczych, Tim stał za Brunswickiem przy północnym wjeździe na autostradę I-95 i jak na tułacza czuł się całkiem nieźle sytuowany. Tkwił tak na słońcu przez ponad godzinę i już zaczął rozważać kapitulację i powrót do Denny's na szklankę zimnej, słodkiej herbaty, gdy zatrzymało się przy nim volvo kombi. Cały tył auta był pełen kartonów. Starsza kobieta za kierownicą opuściła sterowaną elektrycznie szybę od strony pasażera i spojrzała na Tima przez grube szkła okularów.

– Nie jest pan zbyt wysoki, ale za to umięśniony – stwierdziła. – Nie trafiłam na gwałciciela ani psychopatę, co?

– Nie, proszę pani – odparł Tim, myśląc sobie: A jakiej odpowiedzi się spodziewała?

– Nie mógł pan odpowiedzieć inaczej, prawda? Wybiera się pan aż do Karoliny Południowej? Po tej torbie poznaję, że chyba tak.

Ominął ich jakiś samochód, zatrąbił i szybko pojechał dalej na autostradę. Kobieta nie zareagowała i dalej wpatrywała się w Tima.

– Aż do Nowego Jorku, proszę pani.

– Zawiozę pana do Karoliny Południowej, niezbyt daleko w głąb tego nieoświeconego stanu, ale przynajmniej kawałek, jeżeli w zamian za to trochę mi pan pomoże. Rączka rączkę myje, jeśli wie pan, co mam na myśli.

– Możemy sobie nawzajem zrobić dobrze – odrzekł Tim z szerokim uśmiechem.

– Nikt tu nie będzie nikomu robił dobrze, ale może pan wsiadać.

Tim wsiadł. Kobieta nazywała się Marjorie Kellerman i prowadziła w Brunswicku bibliotekę. Należała do organizacji o nazwie Południowo-Wschodnie Stowarzyszenie Bibliotek. Które, jak wyjaśniła, nie ma pieniędzy, bo „Trump i jego kolesie wszystko zabrali. Tyle rozumieją z kultury, co osioł z algebry".

Sto pięć kilometrów dalej na północ, wciąż w Georgii, zaparkowała przed maleńką biblioteką w mieście Pooler. Tim wyjął z samochodu kartony książek i zawiózł je na wózku do środka. Stamtąd z kolei wywiózł do volva kilkanaście innych pudeł. Jak mu powiedziała Marjorie, były przeznaczone dla biblioteki publicznej w Yemassee, mieście położonym jakieś sześćdziesiąt kilometrów dalej na północ, już za granicą z Karoliną Południową.

Wkrótce po minięciu Hardeeville natrafili na przeszkodę. Oba pasy były zakorkowane przez samochody osobowe i ciężarówki, a za nimi szybko przybywały kolejne.

– Nie cierpię, kiedy tak się dzieje – powiedziała Marjorie. – I to zawsze w Karolinie Południowej, gdzie ludzie są zbyt skąpi, by poszerzyć autostradę. Gdzieś przed nami była kraksa, a że są tylko dwa pasy, nikt nie może przejechać. Będę tu tkwiła przez pół dnia. Panie Jamieson, zwalniam pana z dalszych obowiązków. Na pana miejscu wysiadłabym z mojego samochodu, wróciła piechotą do zjazdu na Hardeeville i spróbowała szczęścia na szosie numer siedemnaście.

– A te kartony z książkami?

– Och, znajdę do pomocy inną parę krzepkich rąk – odparła i uśmiechnęła się do Tima. – Szczerze mówiąc, zobaczyłam, że pan tak stoi na słońcu, i postanowiłam pozwolić sobie na ryzykanctwo.

– Jeśli jest pani pewna… – Korek na autostradzie przyprawiał go o klaustrofobię. Tim znowu czuł się tak, jak w połowie długości kabiny w klasie ekonomicznej samolotu. – Bo jak nie, to zostanę. Nie goni mnie żaden termin ani nic takiego.

– Jestem pewna. Miło było pana poznać, panie Jamieson.

– I panią również, pani Kellerman.

– Potrzebuje pan wsparcia finansowego? Jeśli tak, znajdzie się u mnie z dziesięć dolarów.

Był wzruszony i zaskoczony – nie po raz pierwszy – życzliwością i szczodrością zwykłych ludzi, zwłaszcza tych, którzy sami nie mają zbyt wiele. Ameryka wciąż była dobrym miejscem, nawet jeśli niektórzy (w tym czasem on sam) bardzo się z tym nie zgadzali.

– Nie trzeba. Dziękuję za propozycję.

Uścisnął jej dłoń, wysiadł i ruszył piechotą po pasie awaryjnym autostrady w kierunku zjazdu do Hardeeville. Nie doczekał się podwózki na drodze krajowej numer 17, przeszedł więc parę kilometrów do miejsca, w którym łączyła się ona z drogą stanową numer 92. Tam drogowskaz kierował do miasteczka

DuPray. Było już późne popołudnie, więc Tim uznał, że lepiej poszukać motelu na nocleg. Na pewno znowu będzie podły, ale inne rozwiązania – spanie na dworze, gdzie komary pożrą go żywcem, albo w czyjejś stodole – wydawały się jeszcze mniej pociągające. Wyruszył zatem do DuPray.

Wielkie wydarzenia poruszają się na małych zawiasach.

4

Godzinę później Tim siedział na kamieniu na skraju dwupasmowej szosy i czekał, aż skończy przez nią przejeżdżać niekończący się, jak się wydawało, pociąg towarowy. Pociąg zmierzał w stronę DuPray w dostojnym tempie pięćdziesięciu kilometrów na godzinę: wagony towarowe, lawety (w większości załadowane wrakami, a nie nowymi samochodami), platformy, węglarki i cysterny pełne Bóg wie jakich szatańskich substancji, od których, jeśli pociąg by się wykoleił, pobliski las sosnowy stanąłby w ogniu albo DuPray spowiłyby szkodliwe czy wręcz zabójcze opary. W końcu nadjechał pomarańczowy wagon służbowy, w którym na krześle ogrodowym siedział mężczyzna w ogrodniczkach, czytał książkę i palił papierosa. Podniósł wzrok znad lektury i pozdrowił Tima ruchem dłoni. Tim odpowiedział tym samym.

Miasteczko leżało trzy kilometry dalej. Zbudowano je wokół skrzyżowania szosy stanowej numer 92 (noszącej tutaj nazwę Main Street) i dwóch innych ulic. DuPray najwyraźniej uchroniło się przed zalewem sklepów sieciowych, które opanowały większe miasta. Był tu co prawda Western Auto, ale zamknięty, z zamalowanymi szybami. Tim odnotował sklep spożywczy, drogerię, sklep wielobranżowy, gdzie handlowano chyba wszystkim, oraz dwa salony piękności. Były również

kino z napisem SPRZEDAM LUB WYNAJMĘ na kasetonie nad wejściem, sklep z częściami samochodowymi o szumnej nazwie DuPray Speed Shop oraz restauracja Bev's Eatery. Miasteczko miało trzy kościoły: jeden metodystów i dwa niemarkowe, wszystkie z gatunku „Przyjdźcie do Jezusa". Na ukośnych miejscach parkingowych wzdłuż ciągu handlowo-usługowego stało najwyżej dwadzieścia parę samochodów. Chodniki były niemal wyludnione.

Trzy przecznice dalej, za kolejnym kościołem, Tim dostrzegł motel DuPray. Jeszcze dalej, tam gdzie Main Street zapewne znowu stawała się szosą stanową numer 92, widział następny przejazd kolejowy, stację i rząd połyskujących w słońcu metalowych dachów. Dalej wyrastała kolejna ściana lasu sosnowego. Całość robiła na Timie wrażenie miasteczka żywcem wyjętego z jakiejś ballady country, któregoś z nostalgicznych kawałków z repertuaru Alana Jacksona czy George'a Straita. Motel miał stary i pordzewiały szyld, co sugerowało, że tak samo jak kino może być zamknięty, ale ponieważ popołudnie chyliło się ku końcowi, a w całej miejscowości raczej nie było innego noclegu, Tim ruszył w tamtą stronę.

W połowie drogi, minąwszy urząd miasta, dotarł do ceglanego budynku obrośniętego po bokach bluszczem pnącym się po drabinkach. Na starannie przystrzyżonym trawniku stała tablica oznajmiająca, że znajduje się tu Biuro Szeryfa Hrabstwa Fairlee. Tim pomyślał, że to musi być naprawdę nędzne hrabstwo, skoro jego siedzibą jest ta mieścina.

Przed budynkiem parkowały dwa radiowozy: w miarę nowy sedan oraz ubłocona wiekowa toyota 4runner z kulistym kogutem na dachu. Tim rzucił okiem w kierunku wejścia – to było niemal podświadome spojrzenie włóczęgi ze sporą ilością gotówki w kieszeni – przeszedł kilka kroków, a potem zawrócił, żeby przyjrzeć się uważniej tablicom ogłoszeń umieszczo-

nym po obu stronach podwójnych drzwi. A zwłaszcza jednemu z tych ogłoszeń. Chyba coś źle przeczytał, wolał się jednak upewnić.

Niemożliwe, pomyślał. Nie w dzisiejszych czasach.

Ale owszem. Obok plakatu z napisem JEŚLI MYŚLICIE, ŻE W KAROLINIE POŁUDNIOWEJ MARIHUANA JEST LEGALNA, TO SIĘ **MYLICIE** wisiała kartka z krótką informacją: NOCNY STRAŻNIK POSZUKIWANY. PYTAĆ W ŚRODKU.

O rany, pomyślał Tim. To dopiero wspomnienie z przeszłości.

Ruszył w kierunku zardzewiałego szyldu motelu, a po chwili się zatrzymał, rozmyślając o ogłoszeniu. W tym właśnie momencie otworzyły się drzwi posterunku i wyszedł chudy rudowłosy policjant, wkładając czapkę. Niskie słońce połyskiwało na jego odznace. Zmierzył wzrokiem robocze buty Tima, zakurzone dżinsy i niebieską koszulę z cienkiej dżinsowej tkaniny. Na chwilę zawiesił wzrok na torbie podróżnej na jego ramieniu, a potem przyjrzał się twarzy.

– Mogę panu w czymś pomóc?

Tim poczuł ten sam impuls, który w samolocie kazał mu wstać.

– Raczej nie, ale nigdy nie wiadomo.

5

Rudowłosym policjantem był zastępca szeryfa Taggart Faraday. Zaprowadził Tima do środka, gdzie ze składającego się z czterech cel aresztu na tyłach budynku wpadała do części biurowej znajoma woń wybielacza i odświeżaczy do toalet. Faraday przedstawił Timowi Ronnie Gibson, zastępczynię szeryfa, kobietę w średnim wieku, obsługującą tego popołudnia dyspo-

zytornię, a później poprosił go o prawo jazdy i jakiś inny dowód tożsamości. Tim sięgnął po swój identyfikator z komendy policji w Sarasocie i nie próbował ukryć faktu, że od dziewięciu miesięcy jest nieważny. Mimo to na jego widok nastawienie obojga nieco się zmieniło.

– Nie jest pan mieszkańcem hrabstwa Fairlee – stwierdziła Gibson.

– Nie – przyznał Tim. – Ale mógłbym nim być, gdybym dostał tę posadę nocnego strażnika.

– Nie ma z tego kokosów – rzucił Faraday. – A zresztą nie ja decyduję. Od zatrudniania i zwalniania jest szeryf Ashworth.

– Nasz poprzedni nocny strażnik przeszedł na emeryturę i wyjechał do Georgii – wyjaśniła jego koleżanka. – Ma SLA. Chorobę Lou Gehriga. Miły człowiek. Straszny pech. Ale dobrze się tam nim opiekują.

– Że też takie gówno zawsze przypałęta się do dobrych ludzi – dodał Tag Faraday. – Daj mu formularz, Ronnie. – Następnie zwrócił się do Tima: – Pracujemy tu w niewielkim składzie. Jest nas siedem osób, z tego dwie na niepełny etat. Podatników nie stać na więcej. Szeryf John jest teraz na patrolu. Jeżeli nie wróci do piątej, góra wpół do szóstej, to znaczy, że pojechał do domu na kolację i będzie dopiero rano.

– Tak czy siak, będę tu dziś nocował. To znaczy pod warunkiem, że motel jest czynny.

– Och, Norbert powinien mieć parę wolnych pokoi. – Ronnie Gibson wymieniła spojrzenia z rudzielcem i oboje się roześmiali.

– Domyślam się, że nie jest to czterogwiazdkowy przybytek – powiedział Tim.

– Nie skomentuję. Ale na pana miejscu przed położeniem się poszukałabym w pościeli takich małych czerwonych insektów. Dlaczego odszedł pan z policji w Sarasocie? Jest pan jesz-

cze za młody na emeryturę.

– O tym porozmawiam z waszym szefem, jeżeli mnie przyjmie na rozmowę.

Dwoje zastępców szeryfa wymieniło kolejne, dłuższe, spojrzenie, a potem Tag Faraday zwrócił się do koleżanki:

– No, daj mu ten wniosek, Ronnie. Miło pana poznać. Witamy w DuPray. Tutaj wystarczy postępować właściwie, a świetnie się dogadamy.

Po tych słowach wyszedł, pozostawiając w sferze domysłów to, co mogłoby być zachowaniem niewłaściwym. Przez zakratowane okno Tim widział, jak zaparkowana przed budynkiem toyota 4runner opuszcza swoje miejsce i rusza tutejszą krótką główną ulicą.

Formularz był na desce z klipsem. Tim usiadł na jednym z trzech krzeseł pod ścianą po lewej stronie, położył torbę podróżną między nogami i zaczął go wypełniać.

Nocny strażnik, pomyślał. Niech mnie.

6

Szeryf Ashworth – szeryf John, jak zwykle mówili o nim mieszkańcy miasteczka oraz jego zastępcy – miał duży brzuch i wolno się poruszał. Miał też obwisłe policzki jak u basseta i dużo siwych włosów. A także plamę po keczupie na koszuli munduru. Przy pasie nosił glocka, a na małym palcu sygnet z rubinem. Mówił z mocnym akcentem, zachowywał się jak przyjazny, swojski chłop, ale spojrzenie jego oczu, osadzonych głęboko w mięsistych oczodołach, było mądre i dociekliwe. Mógłby grać rolę w jakimś opartym na południowych stereotypach filmie w stylu *Z podniesionym czołem*, gdyby nie to, że był czarny. I jeszcze coś: na ścianie, obok urzędowe-

go portretu prezydenta Trumpa, wisiał oprawiony w ramkę dyplom ukończenia akademii FBI w Quantico. Czegoś takiego nie wygrywa się wycinaniem kuponów z płatków śniadaniowych.

– No dobra – rzucił szeryf John, odchylając się na biurowym fotelu. – Nie mam dużo czasu. Marcella nie cierpi, jak się spóźniam na kolację. Chyba że jest jakiś kryzys, ma się rozumieć.

– Zrozumiano.

– Więc przejdźmy od razu do konkretów. Dlaczego odszedł pan z policji w Sarasocie i co pan tu robi? W Karolinie Południowej niewiele jest utartych szlaków, a DuPray nie leży przy żadnym z nich.

Tego wieczoru Ashworth raczej nie zamierzał dzwonić do Sarasoty, ale nazajutrz na pewno, więc nie było sensu owijać w bawełnę. Zresztą Tim wcale nie chciał tego robić. Jeżeli nie dostanie posady nocnego strażnika, przenocuje w DuPray, a rano ruszy dalej, w następny etap podróży do Nowego Jorku, o której już wiedział, że to niezbędna przerwa między tym, co pewnego dnia pod koniec zeszłego roku wydarzyło się w centrum handlowym Westfield Mall w Sarasocie, a tym, co czeka go dalej. A tak w ogóle szczerość zawsze popłaca, choćby dlatego, że kłamstwo – zwłaszcza w epoce, kiedy każdy z klawiaturą pod ręką i dostępem do Wi-Fi może znaleźć niemal dowolną informację – zwykle mści się na kłamcy.

– Miałem do wyboru zrezygnować albo zostać zwolnionym. Wybrałem rezygnację. Nikt nie był z tego zadowolony, a zwłaszcza ja, bo lubiłem swoją pracę i życie nad Zatoką Meksykańską, ale tak było najlepiej. Dzięki temu dostaję trochę pieniędzy, mniej niż na zwykłej emeryturze, ale lepsze to niż nic. Dzielę je z byłą żoną.

– Przyczyna? Tylko proszę prosto, cobym zdążył na kola-

cję, póki jeszcze ciepła.

– To nie będzie długa historia. W zeszłym roku pewnego dnia pod koniec listopada pojechałem do Westfield Mall, żeby kupić sobie buty. Wybierałem się na ślub. Ciągle byłem w mundurze, no nie?

– Aha.

– Właśnie wychodziłem z obuwniczego, kiedy podbiegła do mnie jakaś kobieta i powiedziała, że na górze, koło kina, nastolatek wymachuje bronią. Więc tam pobiegłem, raz-dwa.

– Wyciągnął pan broń?

– Nie, nie od razu. Chłopak mógł mieć ze czternaście lat. Oceniłem, że jest pijany albo naćpany. Na ziemi leżał drugi, a tamten go kopał. I celował do niego z broni.

– Brzmi jak ta sprawa z Cleveland. Policjant zastrzelił czarnego chłopaka wymachującego pistoletem na plastikowe kulki.

– Właśnie o tym myślałem, podchodząc, ale policjant, który zastrzelił Tamira Rice'a, zarzekał się, że myślał, że dzieciak ma prawdziwą broń. Ja z kolei byłem przekonany, że ta nie jest prawdziwa, ale nie mogłem mieć pewności. Pewnie rozumie pan dlaczego.

Szeryf John Ashworth chyba całkiem zapomniał o kolacji.

– Bo podejrzany celował z niej do chłopca na podłodze – powiedział. – Nie ma sensu celować do kogoś z atrapy. No, chyba że ten na podłodze o tym nie wiedział.

– Później sprawca twierdził, że tylko potrząsał bronią, że z niej nie celował, mówiąc „To moje, skurwysynu, nie zabiera się tego, co moje!". Ja tego nie widziałem. Na mój gust celował. Krzyknąłem, żeby rzucił broń i podniósł ręce do góry. Albo mnie nie usłyszał, albo zignorował. Dalej kopał i celował z pistoletu. Lub nim potrząsał, jeśli rzeczywiście tak było. W każdym razie sięgnąłem po broń. – Tim zamilkł na chwilę. – Jeśli

to ma znaczenie, chłopcy byli biali.

– Dla mnie nie ma. Dwóch chłopaków się biło. Jeden leżał i był bity. Drugi być może miał prawdziwą broń, a być może nie. Strzelił pan do niego? Proszę powiedzieć, że nie.

– Nikt nie został postrzelony. Ale… wie pan, jak to jest, ludzie garną się, żeby obejrzeć bójkę, ale się rozbiegają, gdy pojawia się broń palna.

– Jasne. Jeśli mają trochę oleju w głowie, zwiewają, gdzie pieprz rośnie.

– Właśnie tak było, chociaż kilka osób i tak zostało.

– Te filmujące wszystko komórką.

Tim kiwnął głową.

– Czterech czy pięciu domorosłych Spielbergów. W każdym razie wycelowałem w sufit i oddałem, w zamierzeniu, strzał ostrzegawczy. Może to była zła decyzja, ale w tamtej chwili wydawała mi się właściwa. Jedyna możliwa. W tej części centrum handlowego są podwieszane lampy. Jedna z nich, trafiona kulą, spadła gapiowi prosto na głowę. Chłopak upuścił pistolet i już wiedziałem, że to atrapa, bo odbił się od podłogi. Okazało się, że to plastikowa psikawka na wodę w kształcie czterdziestkipiątki. Leżący dzieciak miał trochę siniaków i skaleczeń, nic, co trzeba by zszywać, ale świadek stracił przytomność i nie odzyskał jej przez trzy godziny. Wstrząśnienie mózgu. Jego adwokat mówi o zaniku pamięci i ostrych bólach głowy.

– Pozwał komendę?

– Tak. Będzie się to trochę ciągnąć, ale w końcu coś dostanie.

Szeryf John się zamyślił.

– Skoro został, żeby filmować zdarzenie, może nie dostać zbyt wiele, nawet jeśli bardzo boli go głowa. Domyślam się, że komenda zarzuciła panu lekkomyślne użycie broni?

Owszem, i byłoby miło, pomyślał Tim, gdyby na tym po-

przestali. Ale nie mogli. Może i szeryf John wyglądał jak afroamerykańska wersja Bossa Hogga z *Diuków Hazzardu*, ale nie był głupi. Widać, że współczuł Timowi – współczułby mu prawie każdy gliniarz – ale na pewno i tak to sprawdzi. Dlatego lepiej, żeby całą historię usłyszał już teraz.

– Zanim poszedłem po buty, wpadłem do Beachcombers na dwa drinki. Funkcjonariusze, którzy aresztowali chłopaka, wyczuli ode mnie alkohol i kazali mi dmuchać. Wyszło zero sześć promila, poniżej dozwolonej granicy, ale i tak kiepsko, skoro właśnie oddałem strzał ze służbowej broni i przeze mnie człowiek trafił do szpitala.

– Czy z reguły dużo pan pije, panie Jamieson?

– Przez jakieś pół roku po rozwodzie piłem sporo, ale to było dwa lata temu. Teraz już nie. – Ale wiadomo, że nie mógłbym odpowiedzieć inaczej, pomyślał Tim.

– Mhm, mhm, no to podsumujmy. – Szeryf uniósł tłusty palec wskazujący. – Był pan po służbie, czyli gdyby nie mundur, tamta kobieta w ogóle by do pana nie podbiegła.

– Pewnie nie, ale usłyszałbym zamieszanie i udał się na miejsce tak czy inaczej. Tak naprawdę policjant zawsze jest na służbie. Jak z pewnością sam pan wie.

– Mhm, mhm, ale czy miałby pan ze sobą broń?

– Nie. Byłaby zamknięta w samochodzie.

Na potwierdzenie tego faktu Ashworth wyprostował drugi palec, a potem dodał do niego trzeci.

– Chłopak najprawdopodobniej miał atrapę broni, ale mogła być też autentyczna. Nie potrafił pan tego stwierdzić.

– Tak.

Pojawił się palec numer cztery.

– Pański pocisk, wystrzelony ostrzegawczo, trafił w lampę i nie tylko ją zwalił, ale też na dodatek prosto na głowę niewinnego świadka. To znaczy pod warunkiem, że gnoja filmującego

komórką można nazwać niewinnym świadkiem.

Tim kiwnął głową. Szeryf wyprostował kciuk.

– A tuż zanim doszło do zajścia, wypił pan dwa napoje alkoholowe.

– Tak. W mundurze.

– Kiepska decyzja, kiepska… jak to mówią… optyka, ale i tak powiedziałbym, że miał pan obłędnego pecha. – Szeryf John zabębnił palcami w krawędź biurka. Do każdej serii uderzeń sygnet z rubinem dodawał swoje ciche stuknięcie. – Myślę, że pańska historia jest zbyt szalona, żeby była nieprawdziwa, ale chyba i tak zadzwonię do pana poprzedniego miejsca zatrudnienia i zapytam. Choćby tylko po to, żeby usłyszeć ją ponownie i jeszcze raz się zadziwić.

Tim się uśmiechnął.

– Podlegałem Bernadette DiPino. Jest komendantką policji w Sarasocie. A pan powinien jechać na tę kolację, bo żona się wścieknie.

– Mhm, mhm, już ja sam będę się martwił o Marcy. – Szeryf zgiął się nad swoim brzuchem. Oczy świeciły mu jaśniej niż dotąd. – Gdybym teraz zrobił panu test alkomatem, to co by wykazał?

– Niech pan sprawdzi.

– Raczej tego nie zrobię. Chyba nie ma potrzeby. – Odchylił się na oparcie; udręczony fotel znowu jęknął. – Po co panu robota nocnego strażnika w takiej zafajdanej mieścinie? Płacimy tylko sto dolarów tygodniowo i chociaż od niedzieli do czwartku niewiele jest kłopotów, to w piątki i soboty bywa gorzej. Co prawda klub ze striptizem w Penley zamknęli rok temu, ale w okolicy jest parę spelunek i tancbud.

– Mój dziadek był nocnym strażnikiem w Hibbing w Minnesocie. Wie pan, w mieście, w którym wychowywał się Bob Dylan. Dziadek pracował tam, kiedy odszedł na emery-

turę z policji stanowej. To właśnie on sprawił, że dorastając, chciałem być gliniarzem. Teraz zobaczyłem ogłoszenie i pomyślałem…

Tim wzruszył ramionami. Co takiego pomyślał? Właściwie to samo co wtedy, gdy zatrudnił się w przetwórni odpadów. Czyli właściwie nic. Przyszło mu do głowy, że przynajmniej mentalnie może to być wyzwanie.

– Idzie pan w ślady dziadka, mhm… – Szeryf John splótł dłonie na okazałym brzuchu i wbił wzrok w Tima. Patrzył na niego tymi swoimi bystrymi, dociekliwymi oczami głęboko osadzonymi w mięsistych kieszonkach. – Uznał pan, że przeszedł na emeryturę, o to chodzi? Nie za młody pan na to?

– Z pracą w policji już na pewno koniec. Znajomy mówił, że w Nowym Jorku może mi załatwić robotę w ochronie, a mnie była potrzebna odmiana scenerii. Ale może w tym celu wcale nie muszę jechać do Nowego Jorku.

W rzeczywistości Timowi chyba była potrzebna odmiana wewnętrzna. Praca nocnego strażnika może jej nie zapewnić, ale nie wiadomo.

– Rozwiedziony, powiada pan?

– Tak.

– Dzieci?

– Nie. Ona chciała, ja nie. Czułem, że nie jestem gotowy.

Szeryf John spojrzał na podanie Tima.

– Tu jest napisane, że ma pan czterdzieści dwa lata. Może nie zawsze, ale zazwyczaj, jeśli ktoś do tego czasu nie jest gotowy… – Urwał i jako wytrawny policjant liczył na to, że Tim sam zapełni ciszę. Ten jednak tego nie zrobił. – Może docelowo wybiera się pan do Nowego Jorku, ale na razie nosi pana bez celu. Czy to trafna ocena?

Tim zastanowił się i uznał, że trafna.

– Jeśli dam panu tę pracę, to skąd mam wiedzieć, że za

dwa tygodnie albo miesiąc pana stąd po prostu nie wyniesie? DuPray nie jest najciekawszym miejscem pod słońcem, ani nawet w naszym stanie. Chodzi o to, proszę pana, że nie wiem, czy można na panu polegać.

– Zostanę tutaj. Oczywiście zakładając, że sprawdzę się w tej robocie. Jeśli pan uzna, że nie, może mi pan powiedzieć. A jeśli ja postanowię, że chcę jechać dalej, poinformuję o tym z dużym wyprzedzeniem. Obiecuję.

– Z tej roboty nie da się wyżyć.

Tim wzruszył ramionami.

– Jak będzie trzeba, znajdę sobie coś jeszcze. Chce mi pan powiedzieć, że będę tu jedynym, który pracuje na dwa etaty, żeby związać koniec z końcem? Zresztą mam trochę oszczędności na początek.

Szeryf John siedział chwilę w bezruchu, rozmyślając, a potem wstał. Zrobił to zaskakująco zwinnie jak na tak ciężkiego mężczyznę.

– Niech pan przyjdzie jutro rano i pomyślimy, co z tym zrobić. Koło dziesiątej będzie w sam raz.

Dość czasu, żeby pogadać z komendą policji w Sarasocie i przekonać się, czy mówię prawdę, pomyślał Tim. I sprawdzić, czy w mojej przeszłości nie ma jakichś innych plam.

Podniósł się i wyciągnął rękę. Szeryf John miał porządny, silny uścisk.

– Gdzie pan dzisiaj nocuje, panie Jamieson?

– Tu, w motelu przy drodze, jeśli mają wolny pokój.

– O, Norbert na pewno ma dużo wolnych pokoi – powiedział szeryf. – I raczej nie będzie próbował sprzedać panu zioła. Na mój gust ciągle ma pan w sobie coś z policjanta. Jeżeli trawi pan smażone potrawy, Bev's jest otwarte do siódmej. Mnie najbardziej smakuje tam wątróbka z cebulą.

– Dziękuję. Za rozmowę też.